

## Kochani Rodacy!

Chciałabym, by polskie dzieci poznały moją historię po to, by przybliżyć wiedzę na temat losu wszystkich dzieci w czasie wojny. Przypomnienia nigdy dość, przecież i w czasach współczesnych nie ma jednego dnia bez wojny.

W czasie II wojny światowej znalazłam się z matką i bratem na Syberii, którzy wkrótce zmarli. Zostałam sierotą, przygarnęło mnie wojsko. Nie byłam sama, później dowiedziałam się, że sierot takich jak ja było ponad dwadzieścia tysięcy. Z tamtego okresu pamiętam tylko zimno, poniewierkę, strach i głód. Czytam wspomnienia pani Stefanii: *"Nie może pani sobie wyobrazić tego głodu. Nikt, kto tego nie przeżył, nie zrozumie... Jedliśmy jakieś korzonki, które zbieraliśmy w stepie. Gdy raz dano nam groch, do dziś pamiętam jego wspaniały smak"*. Potwierdzam te słowa, bo do dziś pamiętam to ssanie w żołądku z powodu głodu.

Z nieludzkiej ziemi Związku Sowieckiego zostaliśmy w 1944 roku przetransportowani w rozmaite strony, ja wraz z innymi trafiłam do Pahiatua. To nowozelandzka miejscowość, w której funkcjonował kampus, obóz dla sierot dzieci z Polski i ich stu opiekunów. Pahiatua w języku Maorysów oznacza „miejsce spoczynku bogów”, tu właśnie był Polish Children's Camp. Trafiłam do nieznanego kraju, ale doświadczyłam wiele niezwyklej serdeczności. Dostałam możliwość nowego życia, ponieważ nowozelandzkie rodziny tworzyły rodziny zastępcze, zapraszały na kolejne święta i umożliwiały znalezienie swojego miejsca w życiu. Potwierdza moje słowa J. Zawada: *"W Nowej Zelandii odżyliśmy, rząd traktował nas tak, jak swoje własne dzieci, mieliśmy szansę na normalne życie"*.

Pahiatua nazywana była „Małą Polską”. Nawet uliczki miały polskie nazwy jak: Warszawska, Zakopiańska, Lwowska. Była polska szkoła, szpital, kościół. Wszyscy, z którymi się spotykam, mówią o dobroci i serdeczności Nowozelandczyków i zdziwieniu bezinteresowną opieką: *"Po okropnościach w Rosji mówiono o dobrych, pracowitych i zaradnych ludziach, którzy nie zamykają domów na klucz. Trudno nam było w to uwierzyć"* – tak wspomina te czasy Dioniza Gradzik - Choroś. *"Po przyjeździe podano nam pierwszy w Nowej Zelandii posiłek. Byłam oszołomiona taką ilością jedzenia, bo do niedawna pamiętałam nieustający głód – wspomina Irena Ogonowska-Coates*.

Z biegiem lat dzieci kończyły szkoły, szły do pracy, zakładały rodziny i to niekoniernie z Polakami. Wychodziły za Kiwi, bo tak nazywali siebie Nowozelandczycy. Ja również skończyłam studia, pracuję, podróżuję i działam w nowozelandzkiej polonii. Posłuchajcie uważnie K. Tomaszyc, pisarki i pani prezes Stowarzyszenia Polaków w Wellington: *"Do dziś Polacy stanowią silną, zwartą grupę, która jest bardzo w Nowej Zelandii ceniona, wielu z nich porobiło kariery zawodowe. Ale ważne jest to, żeby wiedzieli z jakiego kraju się wywodzą i aby byli z niego dumni. Ta wewnętrzna świadomość jest bardzo człowiekowi potrzebna. Bo w Nowej Zelandii ludzie są skądś, dlatego tak ważne, aby każdy wiedział, gdzie jego korzenie"*.

Polacy powinni mieć świadomość, że w przeszłości korzystali z gościnności innych państw w czasie nieludzkiej wojny. I też byli uchodźcami. Otoczeni przez życzliwych ludzi, teraz z wdzięcznością wspominają ciepłe ręce, które pozwoliły im przeżyć.

**"Nowa Zelandia to taki kraj, w którym bycie innym nie utrudnia życia, ale przeciwnie – ułatwia"**. Gdyby ktoś chciał poszerzyć wiadomości o małej Polsce, niech przeczyta:

K. Tomaszuk " Droga i pamięć. Przez Syberię na Antypody",

"Dwie Ojczyzny. Polskie Dzieci w Nowej Zelandii. Tułacze Wspomnienia", także w formie eBooku, książki łatwej do pobrania,

M. Jaworowska - "Dzieci Pahiatuia",

Dariusz Zdziech: *Pahiatua: „Mała Polska” małych Polaków*".

Ja mieszkam w Wellington, jestem już Kiwi, ale modłę się zawsze po polsku. Zapamiętajcie moje słowa: dobro dawane innym zawsze wraca.

Wasza rodaczka, która przeżyła dzięki pobytowi w Pahiatui.

Martyna